

Odtajniona misja Johna Sweeneya. Recenzja książki "Korea Północna. Tajna misja w kraju wielkiego blefu"

Do reportażu "Korea Północna. Tajna misja w kraju wielkiego blefu" podchodziłem sceptycznie. Znałem dokument o Korei Północnej wyprodukowany dla BBC przez autora książki Johna Sweeneya. Film był zapisem z ośmiu dni podróży reportera w Koreańskiej Republice Ludowo-Demokratycznej, opatrzonej komentarzem samego twórcy i kilku ekspertów. Choć ten krótki dokument w kwestii Korei Północnej nie pokazywał zupełnie nic nowego, to osiągnął zaskakujący rozgłos. Stało się to z powodu kontrowersji związanych z jego produkcją. Dziennikarz pojechał do Korei z grupą studentów, podając się za profesora historii. Inni uczestnicy wycieczki nie wiedzieli o prawdziwym celu jego wizyty. Sytuacja wyszła na jaw, gdy po powrocie studenci również zaczęli otrzymywać mailowe pogróżki od północnokoreańskiego reżimu. Wybuchł skandal, a reporter został oskarżony o używanie dla własnych celów "ludzkich tarcz". Ostatecznie BBC opublikowało oficjalne przeprosiny, a Sweeney stracił pracę.

Książka jest niejako uzupełnieniem filmu dokumentalnego. Można ją podzielić na dwie części, które przeplatają się ze sobą. Pierwsza dotyczy bardziej szczegółowego opisu podróży Sweeneya i jego rozważań odnośnie reżimu, nierzadko popartymi wypowiedziami badaczy. Druga skupia się na relacjach świadków, którzy doświadczyli północnokoreańskiego systemu na własnej skórze.

To właśnie przytoczone historie, mniej lub bardziej znane, są plusem książki. Mamy więc m.in. kucharzy dyktatorów, tłumaczy, całą plejadę ludzi porwanych przez reżim i amerykańskiego dezertera, któremu po czterdziestu latach udało się opuścić KRLD. Mnie zwłaszcza zainteresowała opowieść eks-bojownika IRA, który w Korei Północnej uczył się terroryzmu i konstruowania materiałów wybuchowych. Całą historię Irlandczyk, jak przystało na prawdziwego wyspiarza, opowiedział Sweeneyowi w pubie przy kuflu piwa.

Czasami można było odnieść wrażenie, że czyta się fragment powieści fantasy opisującej krainę podobną do Mordoru. Sweeney nazywa Kim Ir Sena Wielkim Zombie, Kim Dzong Ila Złym Elvisem, policjantki kierujące ruchem czarownicami.

Nie brak jednak pewnych nieścisłości, np. Sweeney nie wspomina o kontrowersjach wokół porwania południowokoreańskiego reżysera Shin Sang-oka. Wiele wskazuje na to, że filmowiec wyjechał do Korei Północnej z własnej woli (w tamtych czasach cenzura była niezwykle silna po obu stronach granicy, a Kim Dzong Il oferował reżyserom możliwości pracy z dużym budżetem filmowym), a historią o porwaniu chciał ubarwić swoją własną biografię (temat zostanie omówiony szerzej na moim blogu).

Dużo słabiej prezentuje się też cała reszta książki. Przede wszystkim razi mnie język używany przez autora. Czasami można było odnieść wrażenie, że czyta się fragment powieści fantasy opisującej krainę podobną do Mordoru. Sweeney nazywa Kim Ir Sena Wielkim Zombie, Kim Dzong Ila Złym Elvisem, policjantki kierujące ruchem czarownicami. Epitety: odrażający, piekielny, dziwaczny wydają mi się bardziej charakterystyczne dla literatury grozy pokroju Lovecrafta niż sumiennego reportażu. Fani twórczości Wojciecha Jagielskiego będą raczej zawiedzeni.

Sweeney wydaje się nie rozumieć, że obcuje z inną kulturą. Każda obserwacja, którą przytacza, jest dla niego potwierdzeniem okrucieństwa i słabości rządów Dynastii Kimów. Nie próbuje wyjść poza zachodnią perspektywę, tak np. opisuje spotkanie z koreańską kuchnią (nie różniącą się wcale, aż tak bardzo od tej po południowej stronie): "O naszą uwagę walczył mózdzek konika morskiego, bobki chomika w smarkach oraz złowrogie kleksy przypominające dżem w substancji. No dobra, zmyślam. Ale kraina Wielkiego Zombie nie odkryła jeszcze kosmicznego dobra bekonu i jajek".

Sweeney jest też niezwykle tendencyjny. Bez wątpienia Korea Północna jest okrutną dyktaturą, ale nie rozumiem dlaczego dowodem na to mają być kobiety kąpiące się w rzece, czy robotnicy jeżdżący do pracy autobusem ("Dlaczego nie mają motorów?" – pyta się autor). Oczywiście, że jest to biedny kraj, ale w wielu miejscach na świecie ludzie żyją w dużo gorszych warunkach, często bez dostępu do bieżącej wody. Wbrew temu, co pisze reportażysta, Korea Północna nie jest też najbiedniejszym krajem Azji.

Wydaje się, że "Tajna misja..." została napisana pod tezę. Sweeney z lubością przytacza różne absurdy związane z innymi dyktatorami, chcąc udowodnić wyższość zachodniego modelu rządzenia. Naśmiewa się z Mu'ammara Kaddafiego, ale już nie wspomina o tym, co stało się z Libią po "demokratyzacji" kraju.

Jeszcze gorzej idzie autorowi z opisywaniem historii Korei. Nie dziwią mnie też pojawiające się błędy w datach i uproszczenia, ponieważ dla autora kwestia historii jest trzeciorzędna. Zamiast podejść do sprawy merytorycznie, woli swoje braki nadrobić kpina.

W książce przywołani zostali też różni znani badacze Korei Północnej. Dziwi mnie jednak, że najczęściej cytowany jest Christopher Hitchens. Ten znany lewicowy dziennikarz i piewca ateizmu poza tym, że napisał o swoim pobycie w Korei Północnej artykuł ("Visit to a Small Planet" dla Vanity Fair) i określał ten kraj jako idealny przykład religijnego terroryzmu, nie zajmował się specjalnie tematyką KRLD. John Sweeney jednak przejął od niego ostry krytyczny język, religijne porównania i określenia takie jak "nekrokracja". Niestety reporter nie pisze nic o deklaracji Hitchensa, który po zapoznaniu się z pracami Briana Myersa, przyznał, że jego poprzednie spojrzenie było uproszczone.

Tezy samego Mayersa również pojawiają się w książce Sweeney, ale tylko te, które służą twierdzeniom autora "Tajnej misji...". Reporter nie wspomina ani o przedstawionej przez amerykańskiego badacza krytyce religijnego języka, używanego bardzo często w stosunku do Korei, ani o podobieństwach w myśleniu pomiędzy mieszkańcami Północy i Południa. Odnoszę wrażenie, że pobieżnie cytując wielu ekspertów od Korei Północnej, Sweeney chciał odrzucić zarzuty o powierzchowne spojrzenie na skomplikowaną kwestię KRLD. Cóż, nie udało się.

Książka zapewne napisana w dobrej wierze, ale mnie osobiście odrzuca jej populistyczno-sensacyjny styl i ujawniające się poprzez jej strony wielkie ego autora. Pomimo ekscytującego tytułu, podróż Sweeney nie różni się niczym od tysięcy innych wycieczek do Korei Północnej, opisanych na wielu internetowych blogach. Kilka ciekawych relacji przedstawionych przez reportera nie ratuje całokształtu książki, zwłaszcza, że autor traktuje je fragmentarycznie. By nie wyjść na malkontenta, podkreślę, że w Polsce ukazało się kilka naprawdę rzetelnie napisanych książek i prac odnośnie tego nietypowego kraju. Jako alternatywę polecę "Światu nie mamy czego zazdrościć" Barbary Demick, czyli uczciwy i solidny reportaż, zamiast pokrzykiwań Sweeney.